

**KRZYSZTOF**  
**KOTOWSKI**

**MODLITWA  
DO BOGA ZŁEGO**

**5WHY** PROMOTION

*Marcie i Robertowi...*

# PIOSENKA DLA CHŁOPCZYKA

*Uciekaj, chłopczyku, przez ciemny las  
Zapomnij o słońcu, powstrzymaj czas  
Zapomnij o bogach, drzemiących w niebie  
Postuchaj piosenki i ratuj siebie...  
La la la la... i ratuj siebie...*

## PROLOG

Chłopiec biegł, ile sił w nogach. Słyszał kroki goniących go istot w swojej głowie, jakby były zaledwie metr od niego. Dwadzieścia, może dwadzieścia kilka oddechów temu księżyc skrył się za chmurami i w lesie zapanowała niemal całkowita ciemność, która nie pozwalała odróżnić kostropatych gałęzi wyrastających z potężnych pni od przerzedzonej cichym wiatrem mgły tańczącej między drzewami.

Mgła w poświęcie księżycy była biaława, czasem nawet wydawała się srebrzysta. Teraz jednak chłopiec biegł w ponurych, niemal czarnych oparach, gęstych, jakby powstały z pobliskich bagien, aby zamknąć mu drogę ucieczki lub zmylić kierunek i przynieść zgubę.

Las szeptał tej nocy wyjątkowo cicho. Trudno było wyłowić z ciemności jakiegokolwiek ostrzeżenie – szelest, skrzywienie konarów czy najcichszy choćby głos życia. Za to zapach wdzierał się do głowy chłopca niemal tak silnie jak kroki zza pleców, które niczym koszmarny chichot nie pozwalały wychwycić z tego miejsca czegokolwiek, co pomogłoby zdusić strach. Las pachniał kwitnącym jałowcem, wilgocią liści i gęstym mchem. Zimozielone, długie, wąskie igły sosen, a nawet nasiona modrzewia nie umiały tej nocy roztaczać woni równie intensywnej, ale i ich obecność chłopiec

potrafił wyczuć i wykorzystać, by kierować się w odpowiednią stronę.

Gdyby jakikolwiek zwykły człowiek mógł być teraz świadkiem tego, co widziały tylko zastygłe drzewa, oniemiałby ze zdziwienia. Zmysły ludzkie nie mają przecież takiej mocy, aby im ufać tak bezgranicznie. Jednak chłopiec biegł niezwykle szybko, mijając niewidoczne z pozoru przeszkody, mknąc wciąż naprzód i naprzód. Istoty podążające za nim, choć być może miały wrażenie, że są coraz bliżej niego – myliły się. Aż wreszcie postać najpotężniejsza z nich, rosła co najmniej na dwa metry i potężnie umięśniona na całym ciele, zatrzymała się. Nie widać było ani po niej, ani po jej trzech towarzyszach zwykłego dla takiego wysiłku zmęczenia. Wyglądali na ludzi, ale ich sprawność wzbudziłaby podobne zdziwienie jak bezbłędne ruchy chłopca, który był już daleko przed nimi. Wyrównując oddech, patrzyli przed siebie z gniewem i rozgoryczeniem.

## ROZDZIAŁ 1

Dom stojący na skraju lasu ponad wszelką wątpliwość nie był zwykłym domem. Nie miał własnego jednolitego koloru, typowego dla wiejskiej chałupy ogrodzenia, stodoły albo przynajmniej czegoś w stylu komórki, ale miał za to – co może dziwne – garaż. Ściany domu, a nawet dach, wymalowane były we wszystkie chyba możliwe barwy świata, pomieszane ze sobą zupełnie dowolnie. Raczej nie była tym malunkom nadana żadna konkretna forma ani chyba nawet załączek koncepcji kolorystycznej. Niczego, jak należy się obawiać, twórca wizerunku domu nie chciał nam przekazać – prócz wrażenia. Choć mogłoby się okazać, że takie twierdzenie obraziłoby gospodarzy, którzy właśnie budzili się ze snu. Pan gospodarz, o fryzurze nieco nawiązującej do koncepcji artystycznej domu i ciele nieprawdopodobnie wręcz chudym, wstał leniwie z łóżka, w którym zostawił wciąż drzemiącą żonę. Wszedł kołyszącym się krokiem do kuchni, by napełnić wodą z kranu jedną ze szklanek stojących na stole, a następnie wypić ją do dna. Przeciągnął się, przetarł oczy, rozejrzał się dookoła i postanowił wyrazić dezaprobatę:

- Cipucha! – wrzasnął na całe gardło.
- Zamknij się, pojebie! Przecież jeszcze śpię! – odwrzeszczała mu spod koldry pani gospodyni.

– Zostawiłaś wczoraj taki burdel, że rzygać się chce!  
– Bzdet, tępaku niedorobiony! Czy nie dochodzi do tego twojego jajowatego łba, że jeszcze śpię?!!!

– Chcesz coś do żarcia?!  
– Chcę spać!

Bzdet wzruszył ramionami i wrócił do sypialni. Głowa Cipuchy wypełzła spod kołdry.

– Gacie byś jakieś założył – mruknęła, otwierając jedno oko.  
– Po co?

Dziewczyna wyciągnęła ręce w jego stronę.

– Chodź tu do mnie, Mopiku mój śliczny – zachęciła, posyłając mu buziaka na odległość.

Bzdet wskoczył z powrotem pod kołdrę i mocno przytulił się do żony.

– Moja ty Niunieczko najukochańsza... – zamruczał, całując ją delikatnie w usta.

– Grubasku słodziutki... – zrewanżowała się, szczypiąc go po kościstych plecach.

– Skarbeczka, żabeczka...

– Bzdecik, omlecik...

– Usteczka słodziutkie...

– Brzuszeczek mój najcudowniejszy...

Jesienne słońce raźniej wyjrzało zza chmur nad samotnym domem o nieokreślonym kształcie artystycznym, radując tym bardzo otwartych na piękno przyrody gospodarzy. Przyglądając się porannym zajęciom Bzdetu i Cipuchy, ktoś nieostrożny i nieobiektywny w swoich sądach mógłby odnieść wrażenie, że to tylko para wychudłych, rozczochranych punków, którym nieźle odwaliło. Bardziej uważny obserwator dostrzełby jednak w tych szczęśliwych ludziach tęsknotę nie tylko za pierwotną harmonią z naturą i własnym poczuciem sensu życia, lecz także za silnym instynktem trzymającym ich z dala od miejskiej obłudy, ludzkich zależności i nielogicznie zhierarchizowanego tak zwanego społeczeństwa. Cipucha

i Bzdet byli wolni i – o czym świadczyło wiele przykładów – umieli z tej wolności czerpać siłę do życia.

Bzdet po dość dogłębnym rozważeniu „za” i „przeciw” zdecydował się w końcu włożyć gacie i wyjść na zewnątrz.

– Jest wrzesień! – usłyszał za sobą ostrzeżenie żony. – Wpakuj coś jeszcze na siebie, bo będziesz chrychał jak w kwietniu!

Punk jednak nie odpowiedział, bo właśnie przykuł jego uwagę przedziwny widok. Pod ścianą domu, skulony w kłębek, trząsł się jakiś chłopiec. Na oko miał piętnaście, szesnaście lat, długie gęste włosy koloru dojrzewającego żyta, szczupłe – no, może nie tak jak Bzdet, ale jednak – ciało oraz nieprawdopodobnie dziwaczne, trudne do porównania z czymkolwiek ubranie.

– Siemano, chłopie! – pozdrowił go otwarty na wszelkie dziwy świata Bzdet i podszedł bliżej.

W pewnym momencie jednak zwolnił kroku, widząc, że strach w oczach dzieciaka rośnie. Wreszcie zatrzymał się, żeby dokładniej obejrzeć gościa. Chłopiec wciąż milczał, nie spuszczał wzroku z gospodarza. Punk postanowił, że czas zachęcić do kontaktu niespodziewanego gościa bardziej zdecydowanymi argumentami.

– Słuchaj, koleś – zaczął przystępnie. – Ja tu mieszkam. To mój dom i moje podwórko. A ty siedzisz pod ścianą, jest siódma rano i jesteś trochę za młody na kaca. Wyczesany masz ten mundurek, ale zagadaj coś. Wiesz, nie najlepiej w sumie wyglądasz i jak cię zobaczy moja laska, która rano nie tryska raczej humorem, to będzie afera.

Jak na zawołanie w drzwiach pojawiła się Cipucha, która zobaczywszy, że jej mąż mówi do ściany, szybko wyszła z domu, żeby się dowiedzieć, co się dzieje. Dzieciak na widok drugiej osoby jeszcze bardziej skulił się w sobie i jeszcze szerzej otworzył oczy.

– Co jest grane? – spytała cicho Bzdeta, na wszelki wypadek rozglądając się uważnie dookoła.



– Nie wiem. Znalazłem go tu przed chwilą. Nie chce gadać.  
Dla mnie jakiś trefny jest.

– To dzieciak. Cips jakiś.

– Skąd by tu cipsy się szwendały? Na piechotę z miasta przyszedł? Siedem kilometrów? Wygląda jak przykurzony jakiś...

– Ty, młody! – zagadnęła teraz Cipucha. – Jak masz ścieżkę w organizmie albo przyjarałeś, nie bój. Tu nikogo nie ma. Chcesz wody?

Chłopak nagle otworzył usta i z dużym trudem zaczął wydobywać z siebie jakieś dźwięki. Cokolwiek to było, z pewnością w żadnym zrozumiałym dla gospodarzy języku.

– Nie kumam – podsumowała Cipucha.

– No co ty powiesz...

– Nie dogadamy się z nim. On w ogóle chyba nie łapie, co jest grane.

– Widzę. A ty widzisz, jakie ma ciuchy?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Może lubi *Star Trek* albo urwał się z jakiegoś zlotu dla innych świrów.

– I co?! I gadali tam na migi?! – Bzdet wyraźnie był rozdrażniony.

– Dzwonię po mendy – stwierdziła Cipucha.

– Wyluzuj. To tylko jakiś dzieciak.

– Więc może potrzebuje pomocy, lamusie?

– Od mend?! Zajebisty pomysł!

Chłopiec nagle zamknął oczy, osunął się po ścianie i stracił przytomność.

– O w dupę! – teraz Cipucha zdecydowanie się wystraszyła. – Dalej mam nie dzwonić?

– Dzwon, ale nie do mend.

– A gdzie?

– Na audiotele po jakiś wózek, bo nam tu zejdzie!

– Po pogotowie?!

– Mała, kurde, mózg ci przepaliło? No jasne, że po pogotowie. Ja go biorę do domu.

Bzdet wziął szybko chłopaka na ręce i wniósł po schodach do pokoju gościnnego. Położył go na kanapie i szybko sprawdził oddech i puls. Przykrył chłopca kocem i wrócił na dół do salonu.

– Zadzwońska? – spytał.

– Tak.

– Kiedy przyjadą?

– Szybko. Zadzwońska do Oli.

– Kurwa, przecież Olka to psychiatra!

– No i co z tego? Ale ją znamy. Nie wierzę tym posranym wozakom z miasta. Powiedziała jej, co jest grane, przyjedzie, z kim trzeba. Oddycha?

– Tak. I ma puls, choć jakiś porąbany. Ciekawe, jak jej to zrelacjonowałaś...

– Tak, jak trzeba, przymule!

Doktor Aleksandra Sambierska, drobna rudowłosa lekarka, odłożyła słuchawkę telefonu, ale jej oczy były nadal tak szeroko otwarte, że wyglądały jak pięcioletówki. Z kolei doktor Błażej Kulawik, będący poniekąd świadkiem jej rozmowy przez telefon, ze szczerym zaciekawieniem wymalował na swojej twarzy jeden wielki znak zapytania. Gdy Sambierska nieco się otrząsnęła z tego, co usłyszała, wzięła trzy głębokie oddechy i odruchowo poprawiła fryzurę.

– Możesz mi dać szybko karetkę? – spytała, wprowadzając na swoje oblicze na razie udawany spokój.

– Jaka?

– Pełną. I chcę wziąć Grzesia.

– Luksusowo...

– Dzisiaj jest luz, jest ledwo po siódmej. Moi przyjaciele mają kłopoty.

– Czyli? – spytał Kulawik, biorąc jednocześnie słuchawkę do ręki. – R1 na dół, szybko, i wezwij doktora Jurgę. – Rozłączył się i zawiesił wzrok na koleżance, oczekując odpowiedzi.

– Dwoje moich przyjaciół znalazło pod swoim domem nieprzytomnego nastolatka.

– „Najarany anor w stroju kapitana Kirka” to ten nastolatek? – upewnił się Kulawik.

Sambierska machnęła niecierpliwie głową.

– To Cipucha.

– Wiem. Tylko ona mówi tak przez telefon, że słyhać w drugim pokoju. Ola, to świry. Znowu wykręcają ci jakiś numer.

– Rany boskie, jesteś psychiatrą! „Świry” to chyba jednak niezbyt starannie i adekwatnie dobrane słowo!

– Mieszkają trzydzieści kilometrów za miastem!

– Nie znają innych lekarzy oprócz nas.

– Źle mi się kojarzą.

– Wtedy to nie była ich wina. I dobrze o tym wiesz. Lecę! – Pocałowała go w czoło, porwała płaszcz z wieszaka i wybiegła na korytarz.

Gdy znalazła się w drzwiach budynku „F” prowadzących na zewnątrz, karetka już podjeżdżała. W środku znalazła dwóch wozaków i kierowcę, ale Jurgi nie było.

– Gdzie Grzesiek? – spytała, wskazując szybko do wozu.

– Ma być przy szlabanie – odparł kierowca.

Doktor Grzegorz Jurga był łysawym, szczupłym, dość wysokim, znanym z flegmatycznego usposobienia sześćdziesięcioletkiem. Nie przeszkadzało mu to bywać cynicznym złośliwcem, kiedy tylko zakłócono jego spokój. Ola lubiła go jednak za (rzadką u lekarzy) samokrytyczną trzeźwość i brak (częstego u lekarzy) tak zwanego kompleksu boga wszystkich.

Wsiadł tuż przy wyjeździe z terenu szpitala, zajął miejsce przy Sambierskiej, ale nie fatygował się ze specjalnie entuzjastycznym powitaniem. Machnął nieznacznie ręką,

pozdrawiając wszystkich, oparł głowę o obitą w tym miejscu miękką tapicerką ścianę karetki i zamknął oczy, usiłując najprawdopodobniej się zdrzemnąć.

– Nie pytasz, dokąd jedziemy? – Ola go szturchnęła, zbyt zdenerwowana, by zostać z tym teraz sama.

– Jestem kardiologiem pracującym w szpitalu psychiatrycznym. Dokąd możemy jechać? – mruknął leniwie Jurga. – Do nieprzytomnego chorego psychicznie lub podejrzanego o kłopoty krążeniowe. Dzisiaj mi wszystko jedno. Mam zarwaną noc, daj mi się zdrzemnąć. Słyszałem, że jedziemy daleko.

Sambierska głośno westchnęła, ale zostawiła go w spokoju. Jednak czujny stary lekarz, zbyt dobrze znający Olę, postanowił otworzyć oczy i zaspokoić właśnie pobudzoną ciekawość.

– A tobie co? – spytał z kolei on, przyglądając się teraz uważniej koleżance. – Pierwszy raz jedziesz do chorego? Co się stało?

– To moi... znajomi. To znaczy przyjaciele. Pierwszy raz do mnie dzwonią po pomoc.

Kardiolog wyprostował się i przetarł oczy, żeby odpędzić senność.

– Chcesz powiedzieć, że nie jedziemy do pacjenta „dla nas”?

– Nie wiem.

Wozacy kulturalnie i konsekwentnie udawali, że nie słyszą rozmowy lekarzy.

– Ola... – Jurga ściszył głos. – My nie jesteśmy pogotowie! Mamy karetki tylko dla „naszych”! Co ty wyprawiasz?!

Sambierska zacisnęła usta i przez chwilę milczała.

– No dobra, OK, spróbuję to zrozumieć – westchnął kardiolog. – Po co mnie ściągnęłaś?

– Bo to, co mówili, było dziwne.

– Jezu... Tylko nie mów, że to ci z tego numeru sprzed pięciu lat?!

– Nie ci... To znaczy ci, ale...

– No to ci czy nie ci?!

– Byli z tym związani. Ale nie tak, jak myślisz.

Jurga zdecydowanie spoważniał.

– Ola, pięć lat temu na terenie tego szpitala zginęli ludzie napadnięci przez jakichś porąbanych mnichów z mieczami, a ty mi teraz mówisz, że jedziemy do gości „z tym związanych, tylko nie tak, jak myślę”?!  
– Ciszej!

– Jasne. W ciągu tych pięciu lat już mi kilka razy kazano na ten temat milczeć. W co ty mnie pakujesz? – Słynny spokój Jurgi został wyraźnie nadwątlony, ale teraz szeptał prosto do jej ucha, pilnując, żeby żaden z wozaków tym razem niczego nie usłyszał.

– Nie było cię wtedy. Nie masz się czym niepokoić. Niczego nie widziałeś – odpowiedziała rzeczowo Ola.

– Ale teraz jestem. Mów, co się dzieje, albo każę zatrzymać karetkę!

Sambierska zmierzyła kolegę piorunującym spojrzeniem, pełnym babskiego (przez co – jak ma się rozumieć – groźniejszego) oburzenia.

– Jedziemy do przyjaciół – warknęła mu prosto do ucha. – To były ofiary tamtych wydarzeń, a nie sprawy. Mówię ci o tym tylko dlatego, że...

– Że co?

Ola chwilę się zastanowiła.

– Są trochę ekscentryczni – szepnęła po chwili.

– Są trochę ekscentryczni... – powtórzył jak echo Jurga, wpijając w nią swój całkowicie już trzeźwy, rozbudzony wzrok.

Lekarka pokręciła głową zniecierpliwiona, ale postanowiła, że nie da się zbić z pantaląku.

– Trochę inaczej się ubierają i czeszą. Żyją na odludziu, ale to cholernie porządni ludzie.

– Na odludziu?

– No, może trochę przesadziłam. To pół godziny drogi od Warszawy, na skraju lasu. Ale do najbliższego sąsiada mają z kilometr.

- Coraz lepiej...
- Ludzie, do których jedziemy, należą do ruchu punkowego. – Ola postanowiła być dokładna. – Ich postawa jest kontestacją zakłamanego i egoistycznego, pozbawionego miłości i duchowej wspólnoty układu społecznego – wyrecytowała formułkę, której nauczyła się już kilka lat temu. – Nawet ich pseudonimy i pogarda dla nadanych im przy urodzeniu „przyporządkowanych” imion społecznych znamionują ten bunt.
- Co ty powiesz? Uczysz sześćdziesięciolatka, kim byli punkowcy?
- To nie są zwykle „brudasy” spod trzepaka. Oni traktują to poważnie. To ludzie idei – zakończyła uroczyście. – Zresztą są dorośli. Mają po trzydzieści parę lat. Mówię ci to, abyś nie rozdziawił buzi, jak ja to zrobiłam, kiedy ich pierwszy raz zobaczyłam.
- Bardziej interesuje mnie, które z nich jest chore – odparł nieco cynicznie kardiolog, ale Ola domyśliła się, że nie uniknie dalszych pytań o przeszłość, choć Jurga zapewne odłożył dręczenie koleżanki na później.
- Żadne. Pół godziny temu znaleźli na swoim podwórku nastolatka, który przy nich stracił przytomność. Jest bardzo dziwnie ubrany, mówi w niezrozumiałym języku, oddycha i, jak twierdzą, ma puls, tyle że dziwny. Dlatego chcę, żebyś go zobaczył.
- Pewnie ma omamy i bełkocze, a nie mówi w dziwnym języku.
- To już zostaw mnie. Ty zajmij się somatyką.
- Co to znaczy „dziwny” puls?
- Bardzo nieregularny, o zróżnicowanym natężeniu. To nie są lekarze. Tak wnioskuje z tego, co mówili. Ostatnie, co usłyszałam, interpretuję jako nadmiar wrażeń.
- To znaczy? – Jurga zaczął mówić nieco głośniej.
- Powiedzieli, że chłopak przez chwilę... „stał się jakby przezroczysty”.

– Aha. No, to być może całkowicie prawidłowo, jedziemy do prawidłowych pacjentów – podsumował kardiolog, chyba nieco się uspokajając.

– Na pewno potrzebna jest pomoc.

– I to nie ci z mieczami co wtedy?...

– Tych „z mieczami” nie widziałam od pięciu lat – skłamała Ola, szybko urywając kolejną próbę podjęcia przez Jurgę tematu, którego ponad wszelką wątpliwość by nie zrozumiał.

Gospodarz czekał na nich przed domem.

– Siemano, Ola! – Punk pocałował Sambierską w policzek, ale lekarka zauważyła, że zniknęła jego dawna pogoda ducha, z której tak bardzo był znany wśród, nielicznych zresztą, przyjaciół.

– Gdzie? – spytała szybko.

– W środku. Chyba na razie w porządku. Bzdet jestem! – Wyciągnął rękę do kardiologa.

– Ładnie – przyznał Jurga, potrząsając chudą dłońią punka. – A ja jestem ziomal z głupotkowa. Siemano!

Bzdet uniósł nieco brwi. Ola dość głośno wypuściła powietrze z płuc, ale posłała na wszelki wypadek uspokajające spojrzenie w kierunku nieco zdezorientowanego chuderlaka.

– To co? – Jurga westchnął. – Idę strzelić małodlatowi „depeszę z Damaszku” i powrózę trochę z kreski, OK? – Po czym swoim lekko rozkołysanym krokiem skierował się w stronę wejścia do domu.

– Spokojnie. On ma takie poczucie humoru. – Sambierska klepnęła Bzdeta po ramieniu. – Nie przejmuj się. Mówił o badaniu EKG. Jest trochę zdenerwowany, nie spał całą noc.

– Dobry jest? – spytał punk.

– To świetny kardiolog. Miewa humory, ale na co dzień to oaza spokoju.

W środku, w pokoju dla gości, Cipucha siedziała przy łóżku, na którym leżał chłopiec.

– Nie rozebraliście go? – spytała nieco zaniepokojona Ola, ale bez pretensji w głosie.

– Nie wiemy jak – odparł Bzdet.

Jurga spojrział z politowaniem na Sambierską. Cipucha wyczuła w jego oczach protekcyjność w stosunku do nich, ale z pewnością nie miała nastroju do kłótni.

– To białe, co ma na sobie, nie ma guzików, suwaków ani niczego, co można by rozpiąć. Poza tym tak dobrze przylega do ciała, że łatwo daje się wyczuć puls czy bicie serca.

– Dobra, koniec wygłupów, podłączam EKG – zadecydował Jurga. Dał znak jednemu z wozaków i przesunął ręką po klatce piersiowej pacjenta.

– Tego naprawdę nie da się zdjąć – wtrącił spokojnie Bzdet.

– Widać przecież, że to jakiś strój z balu dla przebierańców. Przynieście nożyczki – kardiolog postanowił nie tracić czasu i założył stetoskop.

– Próbowaliśmy – upierała się Cipucha. – Ten strój tak do niego przylega, że potniemy mu skórę.

– A mogę poprosić nożyczki lub nóż? Mam tu nieprzytomnego pacjenta! – zniecierpliwził się Jurga.

Bzdet bez słowa wyjął z kieszeni scyzoryk i nożyczki, których najprawdopodobniej próbował już użyć.

Sambierska podeszła do chłopca z drugiej strony łóżka. Wyjęła latarkę punktową i zaczęła badać reakcję źrenic.

– W porządku? – spytał kardiolog, próbując znaleźć jakieś miejsce do przecięcia ubrania.

– Reaguje prawidłowo – odpowiedziała Ola, przesuwając ręką po ubraniu pacjenta. – To jest jakby przyklejone do niego. Guma jakaś, cholera, czy co?

– To staje się raz zimne, a raz ciepłe – wtrąciła Cipucha.

– Przejmuje temperaturę ciała – mruknął Jurga.



– Aż tak? – Ola podniosła wzrok na kardiologa. – Dotknij jego brzucha.

Miejsce, na które wskazała Sambierska, było ciepłe jak rozgrzany kaloryfer, za to klatka piersiowa pod dłońmi Jurgi wydawała się chłodna.

– Co jest, do cholery?! – Teraz już nawet on się zaniepokoił. Odłożył nożyczki i zaczął szybko osłuchiwać serce przez cienką warstwę tego, w co ubrany był chłopiec od pasa w górę.

– Te spodnie też jakieś dziwne – westchnęła Ola.

– Są, jak widzisz, grubsze – przyszedł z pomocą Bzdet. – Miejscami jakby wyrzeźbione w styropianie. Też nie da się ich zdjąć. Jakby był jakimś cholernym kosmitą.

– Wygląda jak normalny chłopiec. Bije mu serce, wszystko ma chyba na swoim miejscu – bąknęła Cipucha, ale bez specjalnego przekonania w głosie.

– Bo na pewno jest normalny. – Ola wciąż uważnie badała pacjenta. – Ktoś tylko włożył sporo wysiłku, by mógł zaimponować jakiejś panience na balu, i zrobił mu ten strój. Potem pewnie lyknęli nie te prochy, co trzeba, i gówniarz wylądował pod waszym domem. Tylko skąd?

– Jak na wiejską dyskotekę, nie sądzisz, że to ciut zbyt postmodernistyczne? – Jurga zdjął stetoskop.

Do pokoju weszli wozacy ze sprzętem do EKG.

– Zanieście to z powrotem i przynieście nosze – rzucił szybko w ich stronę.

– Co robisz?! – Ola oderwała się wreszcie od chłopaka.

– Jest stabilny. Zabieramy go stąd.

– Dokąd? Do nas?

– Nie. Jedziemy na kardiologię do Suchego. Może w karetce zrobię wstępne EKG.

– Co jest? – upierała się Ola.

– Nie wiem. Ale na pewno musimy go stąd zabrać. Potrzebny mi sprzęt. To, co słyszę, w ogóle nie trzyma się kupy.

Albo gówniarz ma wadę, o której w życiu nie słyszałem, albo ma dwa serca.

- Jezu... – Cipucha spojrziała ze strachem na męża.
- Dobra, nie ma co. Bywało już dziwniej – próbowała uspokoić wszystkich Ola. – Bierzemy go.
- Jedziemy z wami – wtrącił Bzdet.
- Nie da rady. – Jurga pokręcił głową.
- Może jednak zostańcie, zadzwonię do was – zaproponowała Sambierska.
- Chcemy jechać – upierał się Bzdet.

Cipucha przytaknęła.

- W porządku. Zapiszę wam adres szpitala. Nie dacie rady jechać tak szybko jak my. Gliniarze by was zgarnęli. Jak będziecie na miejscu, zadzwonicie do mnie.

Wozacy wnieśli nosze i zręcznie położyli na nich chłopca. Następnie przykryli go kocem i zaczęli wynosić do karetki.

- Uważajcie na schodach, są drewniane – przypomniała Cipucha, choć nie za bardzo wiadomo po co, bo sanitariusze przeszli nimi już chyba co najmniej ze trzy razy.

- Podłączenie i monitorowanie cały czas. Jak ruszymy, proszę zadzwonić do doktora Suchowskiego, numer jest w notatniku w skrzynce po prawej stronie. Jeśli go nie ma w szpitalu, poproście ode mnie, żeby natychmiast przyjechał – rzucił jeszcze do wychodzących wozaków Jurga. – Albo nie, sam zadzwonię. Pośpieszmy się.

Kardiolog odwrócił się do Oli.

- Masz talent do dziwaków. – Pokręcił głową.
- To nie dziwak, tylko chory chłopiec. Nie róbcie z igły wideł! – Głos Sambierskiej wydawał się chłodny i coraz spokojniejszy. Ale Bzdet zbyt dobrze ją znał. Wiedział, kiedy zaczyna się bać. Przerobili to razem w przeszłości niejedną raz.

Karetka jechała bardzo szybko. Chłopcu podano tlen i podłączono go pod elektrokardiograf, ale na razie nie odzyskał przytomności. Wóz Bzdeta i Cipuchy zniknął z tyłu, jak przewidziała Ola, która teraz ograniczyła się do obserwowania pacjenta. Jurga rozmawiał przez telefon z profesorem Mariannem Suchowskim, dawnym przyjacielem, którego do dzisiaj uważał za największy autorytet w kraju.

– Tak... tak... – mówił prawie spokojnie do słuchawki. – Oczywiście, że go osłuchałem. Gdybym miał strzelać, powiedziałbym, że dzieciak ma cztery komory i co najmniej o trzy zastawki za dużo.

– To niemożliwe, z czymś takim powinien umrzeć jako niemowlak. Mówisz mi, że nastolatek ma dwa przedsionki, cztery komory i ile... siedem zastawek?!

– Maniek! Mam podłączone do niego EKG! Nawet przez ubranie widzę, że... No, nieważne. W życiu nie widziałem takiej depolaryzacji, takiego załamka...

– Co?! – przerwał mu nagle Suchowski. – Przez jakie ubranie?!

Jurga zacisnął ze złości usta, że się wygadał.

– Jest czymś oklejony... Nie umiemy tego zdjąć – burknął przez zęby.

– Czy ty jesteś pijany? – jęknął profesor. – Podłączasz elektrokardiograf przez jakieś ubranie?!

– Maniek!!!

– Wiesz, że nienawidzę, jak tak do mnie mówisz!

– To mnie nie wkurwiał! Mam tu nieprzytomnego gówniarza, nie mam kontaktu z jego rodzicami i nie wiem nawet, gdzie mieszka. Ma wadę serca, jakiej nie znam, a to, co ma na sobie, przewodzi! Założyłem „wilsona” i odczytuje jak ze skóry!

– O ile pamiętam, pisałeś doktorat o dysfunkcjach komorowych? – spytał dla pewności profesor.

– O przerostach i interpretacjach diagnostycznych,

zapropnowałem jedną z metod leczenia przedoperacyjnego zwiększającą skuteczność...

– No, to kto ma się znać na wadach komorowych lepiej niż ty? – znowu przerwał Suchowski.

– Jesteś najlepszy.

– Nie bądź taki cwaniak. Jestem od kardiochirurgii dziecięcej.

– Wiozę do ciebie dziecko.

– Nie wiem, co kombinujesz, ale przyjeżdżaj. Brzmi ciekawie.

– Jak myślisz, co mogę kombinować? Znasz lekarza, który bez powodu przyznaje się do braku wiedzy na temat przypadku?! I jeszcze włożę ci w tyłek, żebyś go przyjął bez jęczenia?!  
– Fakt... to zagadkowe – przyznał profesor. – Skąd go wzięłeś?

– Fakt... to zagadkowe – przyznał profesor. – Skąd go wzięłeś?

– Skąd go wzięłeś?

– Z podwórka jakichś świrów.

– Nic nie rozumiem.

Jurga głęboko westchnął.

– Później ci wytłumaczę. Załatw pełne przebadanie chłopaka od góry do dołu. Tylko o to proszę. A w zamian za to zobaczysz przypadek, jakiego jeszcze nie miałeś.

– Po coś się przeprowadził do szpitala psychiatrycznego? – spytał nagle Suchowski.

– To było wieki temu. Co to ma do rzeczy?

– Nie lubisz mnie, a zawsze do mnie dzwonisz po konsultacje.

– Wciąż cię cenię. Byliśmy kiedyś przyjaciółmi.

– Byliśmy. A potem trzasnęłaś drzwiami.

– Bo zachowałeś się jak dupek. Zresztą zawsze byłeś dupkiem, w którymś momencie miałem tego dość.

– I dlatego się przeprowadziłeś?

– Podoba mi się tutejsza atmosfera. Będziemy za dziesięć minut, Maniek!

Rozłączył się.

– Zawsze tak musicie? – westchnęła Ola.

- Zawsze on zaczyna.
- I zawsze do niego dzwonisz.

Jurga machnął ręką ze zniecierpliwieniem, zerknął na odczyt i oderwał fragment zapisu.

– Co o tym sądzisz? – spytał, nawet nie spoglądając na Sambierską.

- Nie wiem. Nie jestem kardiologiem.
- Jesteś lekarzem.

– Wygląda na zwykłego chłopca. Ma odruchy w normie. Może włożył trochę dziwne ciuchy, ale ma twarz i ciało ładnego, zdrowego szesnastolatka. Gdyby nie twoja diagnoza...

– W porządku. – Jurga spojrział Oli prosto w oczy. – Załóżmy, że się mylę, a jego serce ma po prostu taką naturę. Może jest coś, czego nie wiem, a on jest zupełnie zdrowy. Żrenice reagują prawidłowo. Kończyny przewodzą impulsy nerwowe. Oddycha miarowo, regularnie, prawidłowo. Nie ma złamań. Nie wychwyciłem żadnych szmerów ani nie zaobserwowałem drgawek. Nie ma sinicy. Ciśnienie w normie, puls nawet trochę tachykardyczny. W związku z tym małe pytanko: dlaczego jest nieprzytomny? Powinien tryskać energią. To ma być śpiączka?

– Prochy? Zatrucie? Encefalopatia? Jakiś wirus?

– Był przytomny, jak go znaleźli?

– Tak.

– Szybko oddychał, miał jakieś inne objawy?

– Nie zdążyłam zapytać. Jak przyjadą do szpitala, zrobisz wywiad.

– Wracasz do siebie?

– Nie. I ty też nie. Jeśli to wirus, musimy się zbadać i dopóki tego nie wyjaśnimy, u Suchego będziemy izolować chorego, siebie i... – zastanowiła się chwilę – ...i punktów też.

Bzdet spokojnie siedział w pokoju, który wyznaczył im Suchowski, i odpowiadał cierpliwie na pytania Jurgi. Wreszcie,

jak to on, nie widząc dalszego sensu, postanowił sam podsumować sprawę i zakończyć gadkę.

– To niewiele da, doktoru – stwierdził zdecydowanie. – Wstałem o siódmej, zobaczyłem go, gadał po murzyńsku, wreszcie stracił przytomność. Nie trząśł się, nie wyglądał na zdyszanego, ale miał senne oczy. Odniosłem pieprzone wrażenie, że jest przestraszony. A potem dał w komarunek i tyle.

– Znaczą się... zasnął? – spytał dla pewności Jurga.

– Tak. Właściwie stracił przytomność. Nic więcej nie zdążyłem zauważyć. W ogóle nie zajarzył, co do niego mówiłem.

– Pani też nic nie zauważyła? – zwrócił się do Cipuchy.

– Nie – odparła, przytulając się mocniej do męża.

– Daj im spokój! – nie wytrzymała wreszcie Ola. – Badają go, zaraz się czegoś dowiemy. Ile już tam jest?

– Pół godziny. Idę tam, wy się stąd nie ruszajcie.

– Świetny pomysł, być może będzie przez chwilę cicho, muszę zadzwonić do męża.

Xavril Ganti wszedł do obszernego pokoju, w którym nie było żadnych mebli ani sprzętów z wyjątkiem szerokiej na dwa metry oraz długiej co najmniej na trzy – czarnej, kamiennej kąpielnicy, uformowanej wewnątrz na kształt postaci ludzkiej, tak by osoba zażywająca kąpieli mogła się relaksować, leżąc w dokładnie dostosowanej do swoich rozmiarów potężnej, wyrzeźbionej „wannie”. Urządzenie to – dość tajemniczo nazwane przez projektantów *oblitteratio* – całkiem niedawno zbudowano dla kogoś, kto najwyraźniej nie tyle lubił, ile z jakichś powodów był zmuszony z niego korzystać. Ten ktoś musiał mieć ciało ponad miarę potężne, o muskulaturze i rozmiarach rzymskiego gladiatora. I to on właśnie, zanurzony teraz w niebieskozielonej cieczy, uniósł wolno głowę, usłyszawszy wchodzącego do łaźni Gantiego, by skupić na nim swój wzrok.

Xavril zamknął za sobą drzwi i utkwił z kolei swoje spojrzenie w niemal przezroczyście niebieskich oczach olbrzyma.

– Tak, zbliżają się, Tyhronie – potwierdził, mimo że jego rozmówca nie otworzył nawet ust.

Ganti „słuchał” przez pewien czas tego, co przekazuje mu olbrzym, i znowu zaczął odpowiadać.

– Tak, przekażę im wiadomość... Jestem pewien, że to aurelici... na razie nie zagrażają nam i nie wiedzą, kim jest chłopiec.

Tyhron zamknął wolno oczy i z powrotem położył głowę na oparciu *oblitteratio*.

Ganti skłonił się z szacunkiem i wyszedł z pomieszczenia. Udał się natychmiast do lewego skrzydła domu, gdzie mieściły się jego prywatne pokoje. Zamierzał stanąć naprzeciwko swoich dawnych braci w stroju tradycyjnym, bez strachu, tak by jego umysł wypełniały myśli pełne czystości, ale i odwagi. Zamierzał obmyć dłonie w „wodzie Marcellina” – poświęconej tego dnia przez „strażników” specjalnie dla niego. Dopiero tak przygotowany i odpowiednio przebrany wyjdzie na zewnątrz, by być może odebrać niebawem niejedno życie, jeśli tak każe przeznaczenie.

Andrea Villon, jeden z najbardziej doświadczonych rycerzy aurelickich, ku zdziwieniu wielkiego mistrza sam poprosił o tę misję. Villon rzadko już podróżował i raczej niechętnie opuszczał zamek w Châtillon. Ograniczał się do roli nauczyciela adeptów oraz do rad dotyczących tajników strategii i walki, jeśli go o nie poproszono. Ostatni rok odznaczał się wyjątkowym spokojem i brakiem konfliktów. Roztropna polityka, którą prowadził mistrz Luigi Balea, cechowała się konserwatywną dbałością o starą dobrą dyskrecję wraz z jednoczesną otwartością na nowoczesne metody utrzymywania odpowiednich wpływów – jeśli tylko to możliwe:

bez uciekania się do przemocy. W świecie, w którym Balea był niepodzielnym władcą, choć konflikt stanowił nierzadko niezbędną metodę postępu, pokój oznaczał złoty okres „zbierania żniw” i umacniania potęgi. Dlatego mistrz, gdy właśnie ów umiłowany przez niego pokój został zagrożony, chętnie przystał na propozycję Villona. Wierzył w doświadczenie i znaną wszystkim mądrość nauczyciela. Balea nie tylko potrafił poskromić w sobie łatwą pokusę pychy, lecz także – co najważniejsze – umiał rozumnie pytać. Jako najmłodszy mistrz w ponadtysiącpięćsetletniej historii bractwa, przez pięć lat swoich dotychczasowych rządów zdołał, dzięki między innymi także i tym cechom, zdobyć i utrzymać szacunek tak młodych, jak i starszych – do której zaliczał się Andrea Villon.

Wieści były niepokojące, a co gorsza – niekonkretne. Brak dostatecznej wiedzy na temat zagrożenia stanowił zaś to, co zarówno mistrza, jak i doświadczonego nauczyciela adeptów – Andreego – niepokoiło najbardziej.

Xavril Ganti zadbał, by nikt nie przeszkadzał w spotkaniu. Zszedł wolno z tarasu, zobaczywszy na dziedzińcu otoczonym drzewami Villona; miał pewność, że trzech jego towarzyszy kryje się w pobliżu. To należało do zwyczaju. Zarówno dwóch przybocznych, jak i zawsze obecny neutralny obserwator nie przeszkadzali, dopóki nie było to konieczne.

– Witaj, bracie Villon – zaczął uprzejmie Ganti, zbliżając się do gościa. Był ubrany w tradycyjny aurelicki strój: ciemnozielony habit, pelerynę i kaptur, który teraz zdecydował się zsunąć z głowy na znak uprzejmości i chęci rozmowy.

To samo uczynił Andrea.

– Witaj, Xavril. Cieszę się, że cię widzę. Czasy, kiedy miałem zaszczyt być twoim nauczycielem, wspominam wciąż z kojącą pogodą w sercu.



– Twoje serce zawsze było wielkie, nauczycielu – rzekł z szacunkiem Ganti. – Ale lata, które nas rozdzieliły, nie były łaskawe.

– Dlatego skupmy się na tym, co ważne – przeszedł do rzeczy Villon. – Zdrajca Trantignan nie żyje, dlatego być może to, co nas dzieliło, nie musi już niepokoić. Mistrz Luigi wyciąga do was rękę i prosi, abyście odwiedzili go w Châtillon lub być może w innym dogodnym miejscu.

Andrea nie miał oczywiście nadziei, że propozycja pokoju zostanie przyjęta, wierzył jednak, że jego słów Xavril nie odbierze jako obrazy. Celem było okazanie nie tylko zdecydowania, lecz także otwartości. Ganti z łatwością to zrozumiał. Do niego teraz należał następny ruch. Zdawał sobie sprawę, że Villon pyta w ten sposób o nową sytuację i o to, czy może ona w jakikolwiek sposób zagrażać interesom Châtillon.

Balea swoją potęgą z pewnością wielokrotnie przewyższał Trantignana i jego ludzi nawet w czasach, gdy ich bunt przed pięcioma laty osiągnął największą siłę. A co dopiero teraz – w rok po smutnych wydarzeniach zakończonych w spokojnej do tej pory siedzibie rywala Luigiego w Slazerhoffie. Po tej pamiętnej krwawej nocy została zaledwie garstka buntowników, którzy – by uniknąć gniewu mistrza – ukryli się tak skutecznie, że roztropny Balea zrezygnował ostatecznie z ich ukarania. Teraz jednak wieści, jakie do niego dotarły, musiały budzić zaniepokojenie, a być może obudziły nawet dawny gniew. Nie lękał się oczywiście niedobitków zbuntowanych byłych aurelitów pod przywództwem Xavrila. Wzbudzało w nim jednak niepokój to, z jaką łatwością dali się znaleźć i wytropić, nie mówiąc już o tajemniczych działaniach, które przedsięwzięli kompletnie (być może tylko pozornie?) bez strachu przed potężnym mistrzem.

– Żyjemy w pokoju, uspokój mistrza Baleę, nauczycielu – odparł zgodnie z przewidywaniami Ganti. – Nie chcemy obrażać go swoim widokiem, ale zapewniamy o pełnej

harmonii, której nikt nie odważy się zburzyć. Przysięgam, że to prawda.

Te ostatnie słowa zaskoczyły Villona. Tego typu pokora nie pasowała do ucznia Trantignana. Mógł przecież na tysiąc sposobów odmówić wizyty w Châtillon, a jednak zdecydował się ugiąć przed przedstawicielem wroga. Powody mogły być dwa: albo coś szalenie ważnego Ganti ukrywa i potrzebuje czasu, a istotne jest to dla niego tak bardzo, że właśnie popełnił wyraźny błąd, wzbudzając podejrzenia Villona; albo jest wręcz przeciwnie – dokładnie wie, co robi, a więc już teraz trzyma w rękach argument, który, co oczywiste, prędzej czy później stanie się śmiertelnie niebezpieczny dla Châtillon.

– Dziękuję za twoje słowa. – Twarz nauczyciela wyrażała wyuczoną przez lata pewność siebie, spokój i ostrożny chłód. – Nalegam jednak na spotkanie, abyśmy mogli wyjaśnić dawne sprawy. To konieczne.

Andrea wiedział, że będzie zmuszony w końcu użyć siły. Xavril był zbyt mało doświadczony, aby umieć uspić jego czujność. Wciąż jednak próbował.

– Nauczycielu, przecież nigdzie się nie ukrywamy. Z łatwością nas znaleźliście. Nie mamy wrogich zamiarów. Dlaczego sprawiasz mi ból takimi podejrzeniami? Dawne niesnaski odeszły w przeszłość. Obaj wiemy, że nieroztropność mistrza Trantignana kosztowała nas sporo krwi. Ale on poniósł już karę, a my poddaliśmy się jej sami, cierpiąc na wygnaniu. Rozstańmy się w pokoju.

Teraz Andrea był już pewien, że problem jest większy, niż przewidywano podczas posiedzenia Wielkiej Rady w Châtillon. Dał znak towarzyszącym mu trzem braciom, aby się przygotowali. Z obu stron zza drzew wyłonili się ubrani identycznie jak nauczyciel i Xavril dwaj aurelici, po czym dołączyli do Villona. Kilka metrów za nimi „niedotykalny” mnich – arbiter, zwany przez aurelitów *faxem*, czyli w języku założycieli bractwa „pochodnią pogrzebową” – skłonił się według zwyczaju

i w przeciwieństwie do pozostałych nasunął głęboko kaptur na głowę.

– Dom, z którego wyszedłeś, wydaje się okazały – rzekł Andrea, postępując krok naprzód. – Chyba stosunkowo niedawno zbudowany. Dookoła piękny ogród. Dlaczego wybrałeś na siedzibę akurat ten kraj, Xavrilu?

– Jesteśmy tu tylko w gościnie.

– Czy pozwolisz, abyśmy także i my tu dziś zagościli?

– Nauczycielu, nie jesteśmy odpowiednio przygotowani.

– Tak myślałem. – Andrea westchnął z troską w głosie. – Wiesz, że nie mogę wrócić bez ciebie, mój bracie. Nie sprzeciwiaj się, wiesz, że rozkaz mistrza Balei jest nieodwołalny.

– W niczym wam nie zagrażamy – spróbował ostatni raz Ganti. – Odejdźcie w pokoju!

– Daję ci moje słowo. Gdybym chciał cię zabić, nie rozmawialibyśmy w tym ogrodzie. Wojna skończona. To tylko prośba o to, byś zaufał. Chcemy jedynie wiedzieć, kim jest chłopiec i dlaczego tak bardzo wam na nim zależy.

Xavril drgnął. A więc macki Balei sięgają aż tak daleko. Spóźnili się. Teraz nie unikną starcia, a aurelici z Châtillon będą próbowali im przeszkodzić.

Ganti wolno wyjął spod habitu miecz. Podobnie zrobili przybocznicy Villona.

– Nie rób tego! – ostrzegł Andrea. – Chcemy tylko szczerych słów. Nie chcemy twojej krwi ani nikogo innego.

– Nie mogę pójść z tobą, nauczycielu – odparł Xavril. – Ale wiedz, że mówię prawdę. To, co teraz robimy, w żaden sposób wam nie zagraża. Chcemy po prostu, abyście zostawili nas w spokoju. Chcemy być wolni. Staję przed wami w rytualnym stroju, aby okazać szacunek. Ale ja i moi towarzysze nie jesteśmy już tacy jak wy. Poszliśmy inną drogą i mamy inne zadania. Nie wtrącamy się w wasze interesy. Nie wkraczamy tam, gdzie sięga wasza władza. Pozwólcie nam odejść.

– A jednak nie używasz przeciwko nam broni palnej ani żadnego podstępu, który splamiłby twój honor – zauważył z szacunkiem Villon. – W głębi serca zawsze pozostaniesz aurelitą, posłusznym naszym zwyczajom i prawom.

– Odejdźcie, nie chcę nikogo krzywdzić!

– Jesteś świetnym szermierzem, Xavril, sam nauczyłem cię sztuki walki, ale teraz odłóż swój miecz. Każdy z rycerzy, których tu widzisz, byłby w stanie pokonać nie tylko armię alumnów, lecz także każdego, kto kryje się w tym domu. Błogosławiłem osobiście wszystkich, którzy mieli szczęście posiadać naszą sztukę. Wszystkich, którzy opuścili mury Châtilon. Pamiętam każdego rycerza, który miałby szansę nam się przeciwstawić. I nie należy do nich żaden z twoich towarzyszy. Odłóż broń, chłopcze. Nie warto.

– Sam nauczyłeś mnie prawa każdego aurelity do stawiania honoru na ostrzu swego miecza. Skoro nie mogę wykonać twojego polecenia, wolno mi się bronić.

– Rzykujesz życie, chłopcze!

– Baea i tak nie puści mnie żywego, nawet gdybym poszedł z wami.

Villon po raz kolejny głęboko westchnął.

– Zrozum, Xavril! Nie ma powodu pozbawiać cię życia. Mistrz Luigi nie żywi do ciebie urazy. Rozumie. Umie wybaczać. Inaczej nie wyrzekłby się zemsty. A jednak żyjecie.

Ganti uniósł miecz.

– Ostatnia szansa, abyście odeszli w pokoju.

Andrea dał znak aurelitom, którzy natychmiast ruszyli do ataku. Ku zdziwieniu Villona Xavril rozpoczął walkę wyjątkowo spokojnie. Odbił błyskawicznie pierwsze ciosy, a jego twarz nawet przez chwilę nie dawała oznak zaniepokojenia, lęku czy nawet wysiłku. Andrea znał słabe strony swego byłego ucznia. Był szybki, ale porywczy. Umiał pokonać przeciwnika wytrwałością i siłą, ale nie techniką, do której talentu zawsze mu brakowało. Tym razem jednak było w jego ruchach coś,

co z sekundy na sekundę w umyśle nauczyciela budziło narastającą obawę. Swoim rzadko go zawodzącym instynktem wyczuwał, że jest świadkiem czegoś, co za chwilę skończy się tragicznie, a on nie umie znaleźć wytłumaczenia dla tego, co widzi. Ganti zawsze był szybki. Ale tego dnia jego szybkość i spokój wydawały się zdumiewające i niepojęte. Niemożliwe, aby przez cztery lata, kiedy się nie widzieli, zrobił aż takie postępy. Andrea uczył go od dziecka. Znał jego możliwości jak nikt inny. Teraz nagle w jego umyśle pojawiła się bezlitosna myśl, że wynik walki jest nieunikniony. Cięcie przez szyję Rafaela, a po chwili niemal niedostrzegalny cios przez głowę Jeana zgasiły życie w obu jego uczniach w ciągu kilku zaledwie sekund. Najgorsze jednak było to, że mógł to zrobić znacznie wcześniej, niemal w dowolnej chwili, ale podjął jeszcze jedną próbę, aby nauczyciel, zobaczywszy, co się dzieje, mimo wszystko kazał zaprzestać walki.

Andrea nie mógł już jednak zrezygnować. Skupiwszy w sobie całą energię i doświadczenie, ruszył na Gantiego. Każdy świadek oceniłby zgodnie, że ciosy Villona były mistrzowskie, płynne i zadane techniką dla zwykłego śmiertelnika niemal niedoścignioną. A jednak szybkość Xavrila pozwoliła mu zablokować każdy z nich, po czym wyprowadzić kontrę, raniąc nauczyciela w ramię, tak że broń wypadła mu z dłoni. Andrea upadł na kolana pod siłą uderzenia Gantiego i zamknął oczy, czekając na szybką śmierć. Xavril zaprzestał jednak walki, wytarł miecz i schował do *umuri* ukrytego pod habitem.

– Nie możesz już walczyć, nauczycielu – rzekł spokojnie. – *Fax arbiter* pomoże ci wrócić do domu. Jeśli takie jest twoje życzenie, nasi bracia zostaną oddani Niebu według rytuału. Odejdź i przekaz mistrzowi Balei, że mu nie zagrażamy. Starałem się żyć w pokoju. To wy zmusiliście mnie do wyjęcia miecza.

Andrea uniósł wzrok. Nie bał się śmierci, a to, że jej uniknął, przyjął ze spokojem, nie pozwalając dostrzec w sobie zaskoczenia.

– Jak to możliwe, Xavrilu? – spytał tylko szeptem i upadł na trawę wyczerpany upływem krwi. *Fax* szybko podbiegł do niego, by opatrzyć ranę.

Ganti doskonale wiedział, o co pytał nauczyciel, ale odszedł w milczeniu. Gdy tylko zamknęły się za nim główne drzwi domu, spotkał go wzrok Tyhrona. Stał ubrany już po kąpielu na schodach, po których wolnym krokiem wspinał się Xavril, by pójść do siebie i zmówić modlitwę za braci, poległych przed chwilą od jego miecza. Zobaczywszy olbrzyma, zatrzymał się jednak, by przechwycić jego spojrzenie.

– Musiałem pozwolić mu odejść – odpowiedział cicho. – To da nam czas. Niewiele, ale powinno wystarczyć. Gdyby wszyscy zginęli, jutro mielibyśmy na karku całą armię aurelitów. Znam ich zwyczaje i taktykę. Musisz zawierzyć mojemu osądowi... Tak, moi ludzie zajmą się odpowiednio zmarłymi... Tak, przekazałem mu wiadomość... Nie, nie wiedzą o chłopcu, ale wiedzą, że istnieje. Sądzą, że robimy coś, co im zagraża. Dlatego nie pozwolą nam spokojnie odejść. Nasza taktyka dała tylko chwilowo dobry skutek. Teraz musimy naprawdę zniknąć. Jeśli nas znajdą, znowu poleje się krew. A to wszystko opóźni. Zrobiłem, co w mojej mocy.

Tyhron skinął głową i odszedł. Xavril przez chwilę stał jeszcze na schodach, zagłębiając się w myślach na temat tego, co stało się przed domem. Nie wiedział, czy przekonał Tyhrona tym, co mówił. Siebie nie przekonał. W głębi serca tkwił w nim niepokój, że nie zna sposobu na powstrzymanie Balei. Nikogo nie zdziwił fakt, że się bronił. Ale to, że pokonał trzech rycerzy aurelickich, wywołał alarm. Jedyną nadzieją w tym, że darował życie nauczycielowi, którego, o czym wszyscy w Châtillon wiedzieli, od dziecka kochał. Zresztą... niewielka nadzieja.

Więcej informacji na  
[www.5why.pl/kotowski](http://www.5why.pl/kotowski)